

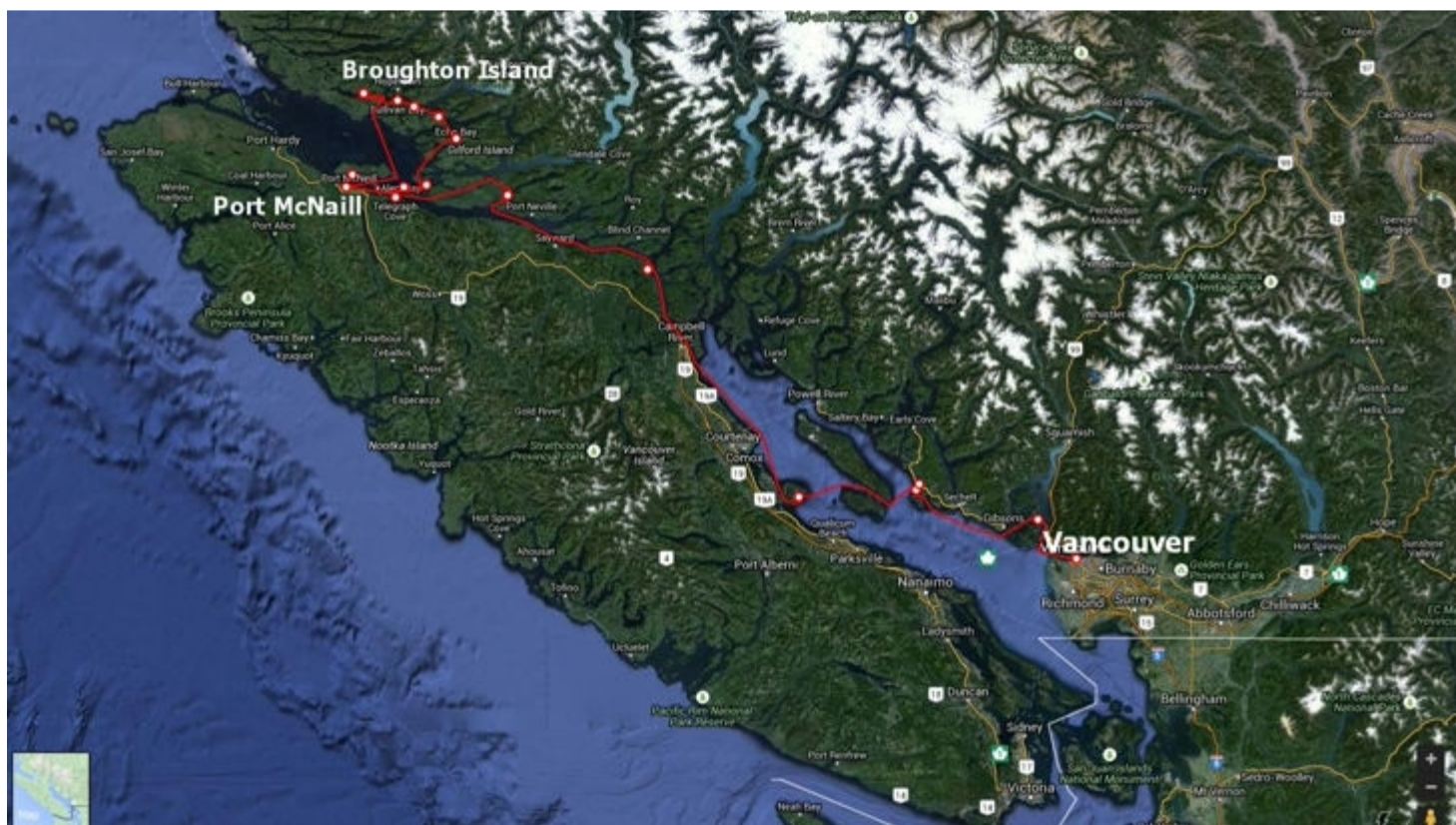
2015.07 "Varsovią" na północ od Vancouver, Broughton Island



W tym sezonie letnim zateśkniałem do żeglugi po wodach rejonu Vancouver, ponieważ dwa ostatnie lata żeglowałem w lodowych rejonach. Rok temu w lodach Arktyki kanadyjskiej - Northwest Passage a dwa lata temu na mojej „Varsovii” odwiedzałem lodowce Alaski:

Wielkie wyprawy, gonitwa żeby na czas dotrzeć i osiągnąć cel, jest pasjonująca, ale czasami ma się pragnienie pływania na tzw. luzie i odwiedzenie znajomych mieszkających na wyspach itp. Na wiosnę zająłem się moją łódką, trochę zaniedbaną w ubiegłym roku. Praca na łódce, naprawy i modernizacja jest równie interesująca jak i samo żeglowanie. Oprócz dobrego malowania dna, zainstalowałem dodatkowe panele baterii słonecznych, podwajając dotychczasową moc. Umożliwiło to zainstalowanie prawdziwej lodówki, która bez zasilania z lądu i bez pracy silnika może mrozić w sposób ciągły, bez nadwyrażania akumulatorów. Podobnie jak domowa lodówka z zamrażalnikiem.

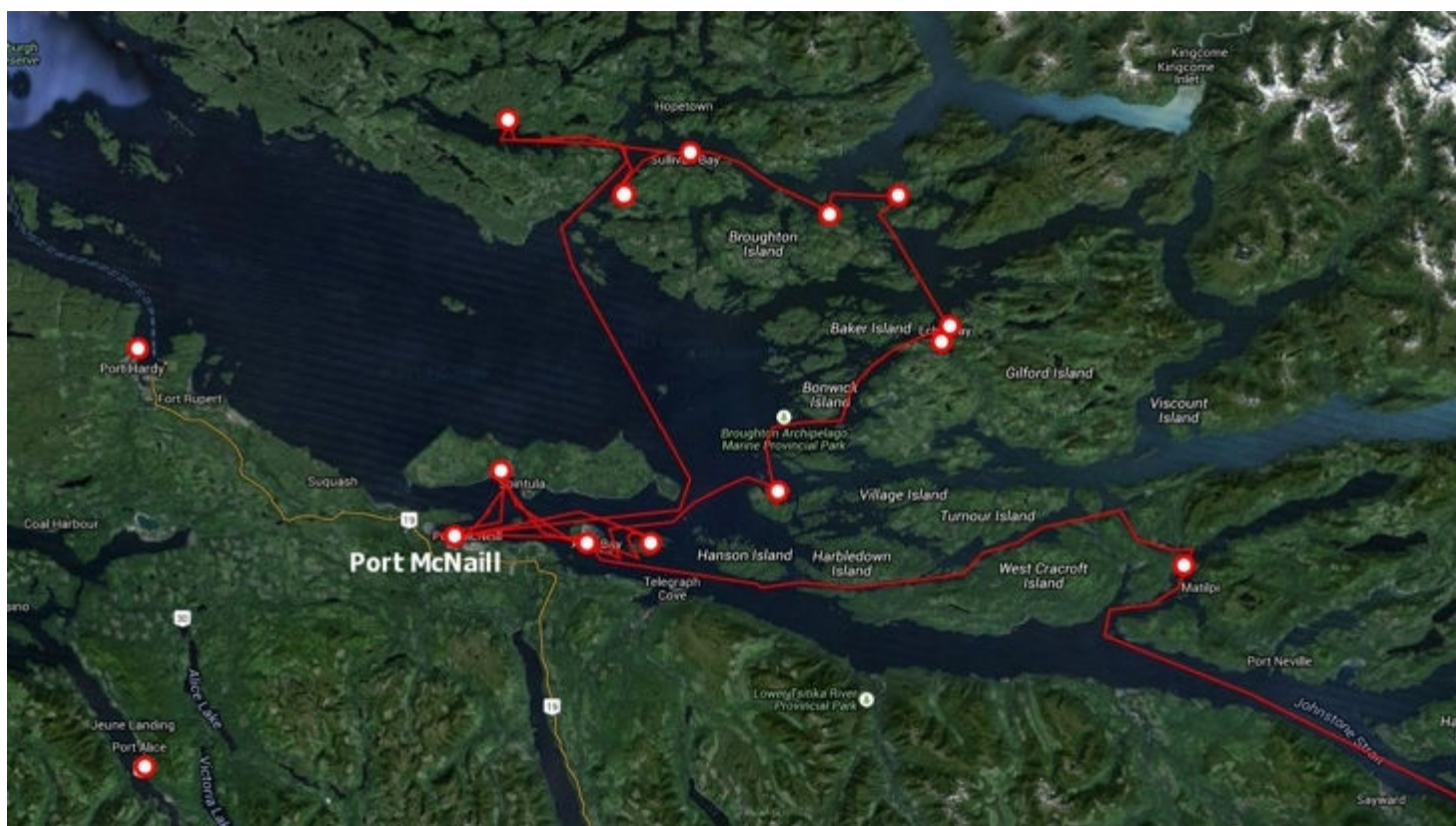
1 lipca zaplanowałem wypłynięcie w tzw. mój rejs roku, tym razem bez konkretnych planów wyprawowych. Rozważałem różne warianty, ale silne sztormowe wiatry, które wiały od połowy czerwca prawie bez przerwy z siłą od 15 do 45 węzłów z północnego zachodu, nie zachęcały do pływania pod taki wiatr po otwartym oceanie.



Nigdzie nie spiesząc się, wypłynąłem 2 lipca. Pierwszego dnia posunąłem się bardzo niewiele, bo mój kurs był pod wiatr ponad 20 węzłów. Drugiego dnia było podobnie.



Dopiero trzeciego dnia, a to tylko 60 mil od Vancouver, dotarłem do Wyspy Hornby. W ciągu dnia wiał umiarkowany wiatr i mogłem wygrzewać się na plaży. Wieczorem stojąc na kotwicy zanotowałem wiatr prawie 30 węzłów. Pomimo tak silnego wiatru moja kotwica bardzo dobrzetrzymała, bo fala od brzegu osłaniającego zatokę była umiarkowana.



Po prawie tygodniu dotarłem do Port McNeill na północy Wyspy Vancouver. W poprzednich rejsach na Alaskę dopłynięcie do tego miejsca zwykle zajmowało mi 2 do 3 dni. Ale w tym roku płynąłem na luzie. Port ten stał się dla mnie w pewnym sensie bazą na kolejne pływania. Pierwszy powitał mnie Iwo, który wraz z żoną Jolą latem mieszka w pobliskim Port Alice a zimą w swoim domu w Meksyku. Iwo dużo żeglował po Pacyfiku i miał już kilka jachtów.

Obecny jego jacht stoi w Meksyku i Iwo myśli jak go sprowadzić w te rejony, które uważa za wyjątkowo atrakcyjne do żeglowania.



Miałem okazję przekazać mu w imieniu klubu LOTTO-Bydgoscia i załogi jachtu „Solanus” pamiątkowy medal - „Dukat”, który przywiozłem z Bydgoszczy. Podczas rejsu Morskim Szlakiem Polonii 2010-11, Wigilie i Święta Bożego Narodzenia 2010 załoga "Solanusa" spędziła w gościnnym domu Iwo i Joli Zembal w Barra de Navidad w Meksyku. Na tą Wigilie dotarłem również ja wraz z żoną i synem. Byłem wtedy koordynator powitania i pobytu jachtu "Solanus" w Vancouver.



Zapoznałem też Teresę i Ryśka, którzy od lat mieszkają niedaleko mariny w Port McNail. Całą czwórką popłynęliśmy moim jachtem na pobliską Wyspę Sointula oraz do Alert Bay.

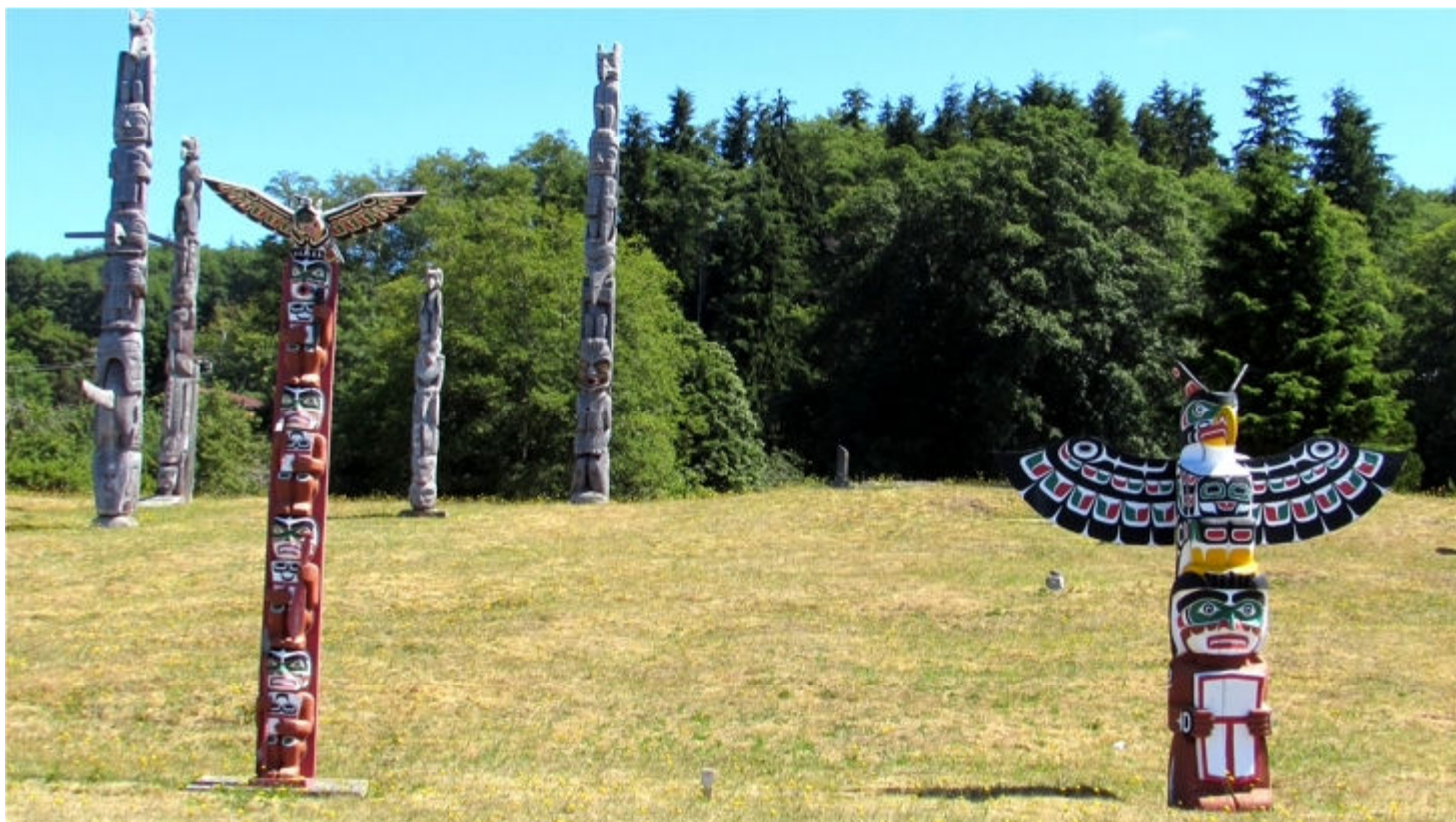


Alert Bay kiedyś był ważnym i ruchliwym porcikiem na trasie Inside Passage, czyli trasy z Vancouver na północ Kolumbii Brytyjskiej i dalej na Alaskę. Teraz nie ma nawet stacji paliwowej. Przemysł rybny i leśnictwo na zachodnim wybrzeżu Kanady, praktycznie przestało istnieć. Nieliczni mieszkańcy to głównie oryginalni Indianie. Dużo domów i obiektów portowych jest w stadium rozpadu.

Władze prowincjonalne i lokalne starają się rozwijać turystykę w tym rejonie. Miasteczko zostało trochę zagospodarowane pod tym względem.



Przy głównej ulicy domki są dość zadbane i widać kwiaty w niecodziennych doniczkach.



Totemy Indiańskie są jedna z głównych atrakcji i widać je z daleka.



Turystyka też upada i sprowadzone z Londynu dwupiętrowe autobusy stoją bezrobotnie. Już chyba nigdy nie wyjadą na drogę, bo rozpadają się tak jak niektóre zabudowania portowe.



W dużych miastach na kontynencie amerykańskim nazwy ulic zwykle są numerami a na wyspie Sointula z dala od wielkich metropolii można zobaczyć osobliwą nazwę ulicy „Droga Obdarty Tyłek”.



Na topie masztu siedział orzeł, który z dumą oglądał okolice.



Następnego dnia już tylko z Iwo popłynęliśmy na wyspy Pearse Islands. Wysepki te są bardzo urokliwe. Woda jest wyjątkowo czysta i przejrzysta, z tego powodu, że są one na środku silnego prądu pływowego wpływającego z oceanu w cieśniny pomiędzy wyspą Vancouver i stałym lądem. Zakotwiczyliśmy tam i widać było jak szybko płynął tam prąd pływowy. Najlepszym wskaźnikiem szybkości tego prądu był pływający kelp układający się w długie pasma. Przeprawiając wąskimi przejściami pomiędzy tymi wysepkami trzeba było uważać na prąd, skały i ten kelp.



Podczas postoju na kotwicy było relaksowanie się w kokpicie i rozmowy telefoniczne min. z Polską. Widać, że obecnie jest coraz trudniej uciec od cywilizacji.



Moja żona Ela z naszym synem Markiem przyjechała samochodem do Port McNaill. Zostawiła samochód i na 10 dni zaokrętowała na „Varsovii”.

Jednego dnia pojechaliśmy samochodem odwiedzić Jole i Iwo w Port Alice. Innego dnia zaliczyliśmy wycieczkę do Port Hardy.

Celem naszego rodzinnego rejsu był archipelag wysp w okolicy Broughton Island. Rejon ten jest bardzo ciekawy i dość często odwiedzany przez jachty, głównie duże motorowe. Jest tam kilka ładnych marin, które zwykle mają wszystkie zabudowy na pływających pomostach, bo brzegi w tym rejonie są bardzo zarośnięte. W marinach kwitnie życie towarzyskie, spotkania, rozmowy i często wspólne jedzenie na pomostach. Są też liczne zatoczki do kotwiczenia.

Zobacz filmy z poprzedniego odwiedzenia przeze mnie tego rejonu:

Cz.1 <https://youtu.be/A1sTxDJB2NQ>

Cz.2 <https://youtu.be/0InRcaLR47M>

Cz.3 https://youtu.be/Xo1_fDp3F80

Spotykałem tutaj wielu żeglarzy, którzy pływali po różnych morzach i oceanach. Twierdzą oni, że jest to rejon wyjątkowo ciekawy i wolą żeglować właśnie tutaj. Ja również mam podobną opinie. Pływałem w różnych rejonach świata i ten akwen, nie dlatego że tu mieszkam, uważam za bardzo atrakcyjny. Mówiąc ogólnie o kanadyjskim wybrzeżu Pacyfiku, jest tutaj wszystko na miejscu: ocean, góry, zatoki, liczne kotwiczowiska. Czyni to ciekawą nawigacyjnie żeglugę, bo silne prądy i wysokie pływy. Najważniejsze to, że jest tutaj wyjątkowo pusto i jest się bardzo blisko natury.



Pierwsza marina, którą odwiedziliśmy była Jennie Bay.



Na brzegu było bardzo dużo malin i jeżyn, które mało, kto zbierał. Nie trzeba było daleko chodzić i przy samej drodze prowadzącej na pomost Ela bardzo szybko zebrała duże pudełko.



Przyjemnie było posiedzieć na pomoście obok łódki i przygotować jedzenie na BBQ. W marinie tej było cicho i spokojnie, tylko kilka jachtów. Dlatego zostaliśmy tutaj na dwie noce. Kolejna noc, płynąc do następnej mariny, spędziliśmy w cichej zatoczce Napier Bay.



Marina w Sullivan Bay jest bardzo ładnie zagospodarowanym miasteczkiem na wodzie.



Większość pływających domków należy do amerykańców. Jest tutaj restauracja, sklep, biblioteka, pralnia, fryzjer, stacja paliwowa i wszystko to, co zwykle bywa w małym lądowym miasteczku. Oczywiście z wyjątkiem samochodów, które tutaj zastępują różnej wielkości łódki.



Posterunku policji nie ma, ale za to jest więzienie wyglądające tak jak w filmach Westernach. Marek miał okazję sprawdzić jak świat wygląda zza krat. Dla odmiany takich atrakcji, kolejna noc spędziliśmy na kotwicy w zatoczce Cypress Harbour.



Marina Shawl Bay wyglądała wyjątkowo zadbana i tonęła w kwiatach.



Doniczki kwiatowe wykonane z różnych zużytych sprzętów jak np. odbijacze, pływaki lub sprzęty z kutrów rybackich.



Moja „Varsovia” dobrze wkomponowała się w ten ogród botaniczny.



W „światlicy” pod dachem można było posiedzieć porozmawiać z innymi gośćmi. Wieczorem był tzw. „pot luck”, czyli każdy przynosił coś do jedzenia do wspólnego podziału. Gospodyni mariny ugotowała olbrzymi gar zupy z owoców morza. Była to wspaniała ucztą.



Kolejna odwiedzona marina to Echo Bay. W zatoczce tej jest Morski Park Prowincjonalny, ale parkowy pomost jest w stanie rozpadu i można tam tylko dopłynąć na dinghy.



Przyjemnie było pobujać się na ławkach zawieszonych na linach i wieczorem rozpalić ogień w efektownym palenisku.



Ciszę natury przerywał latający helikopter. Lądując na pływającym pomoście musiał dobrze manewrować, żeby nie zawadzić o maszty jachtów.



Z drugiej strony zatoki jest pomost przy wiosce gdzie jest małe muzeum.



Billys Museum założył i opiekuje się nim jeden z najstarszych mieszkańców tej wioski. Kiedyś tu kwitło życie, mieszkało dużo ludzi, była nawet szkoła podstawowa. Do której uczęszczało kilkadziesiąt dzieci z okolicy.



W muzeum można obejrzeć pamiątki rodzinne i inne sprzęty obrazujące jak kiedyś wyglądało życie w małych osadach zachodniego wybrzeża Kanady, z dala od dużych miast.



Rodzinny rejs zakończyliśmy w Port McNaill. Wieczorem na „Varsovii” odbyło się pożegnalne party.

Ela z Markiem wróciła samochodem do domu a ja przez następne 4 dni wracałem jachtem do Vancouver.

Po drodze odwiedziłem kolejnych znajomych: Roberta na wyspie Texada i Siemiona w Pender Harbour. Robert chwalił się nowo kupioną łódką i domem, bo dopiero niedawno tam zamieszkał. Wyprowadził się z Vancouver i rozkoszuje się spokojnym życiem bez pośpiechu i tempa wielkomiejskiego. Podobnie Siemion, który odpoczywa w swoim domu z pięknym widokiem na Malaspina Strait.



Na Strait Of Georgia, niedaleko już od Vancouver, rodzina fok opalała się w słońcu na takiej swojej „plaży”. Ciekawy przykład, jak natura nie dostosowuje się do zakazów cywilizacyjnych, jak np. nie dopływania do znaków nawigacyjnych.

Ponad trzytygodniowy rejs był całkiem inny niż większość moich poprzednich, kiedy to zwykle spieszyłem się. Tym razem było relaksowo i mogłem odwiedzić wielu znajomych, mieszkających z dala od zgiełku wielkomiejskiego.

Było to trochę inne doświadczenie żeglarskie, dla oderwania się od wielkich wypraw, bo przepłynąłem tylko około 500 Mil morskich.

Tekst: Jerzy Kuśmider

Zdjęcia: Jerzy i Elżbieta Kuśmider oraz Iwo Zembal.

